

Metropolis

(Fragment)

THEA VON HARBOU

Był jeden dom w wielkiej Metropolis, starszy od całego miasta. Wielu mówiło, że jest starszym od tumu, że zanim jeszcze „Archanioł Michał” jako herold w walce po stronie Boga zadzwieczał, ten gmach stał już w swej złej ponurości i spoglądał na tum zamaczonymi oczyma.

Dom ten przeżył czasy dymu i sadzy. Każdy rok, co leciał nad miastem, umierając krył się w nim, tak, że dom ten stał się cmentarzem, trumną napelnioną zmarłymi dziesiątkami lat.

Wyciśnięta w czarnem drzewie drzwi tkwiła czerwona pieczęć tajemnicza: salomonowy pentagram.

Było podanie, że mag przybył ze Wschodu – (śladami jego czerwonych pantofli wędrował mór) – zbudował ten gmach w siedmiu nocach. Ale murarze i cieśle miasta nie wiedzieli, kto spajał cegły i kto krył dach. Żadna uroczystość i żaden obwiązany wstęgami bukiet nie uświęcił według pobożnego zwyczaju zakończenia budowy. Kronika miasta nie donosiła nic o śmierci maga, kiedy umarł i jak. Jednego dnia zwróciło uwagę obywateli, że czerwone pantofle maga już długo unikały brzydkiego bruku miasta. Wtargnięto do domu. Ani żywego ducha. Jednakże komnaty, które ani w dzień, ani w nocy nie otrzymywały promieni wielkich światła niebieskich, zdawały się, pogrążone we śnie, oczekiwać swego mistrza. Pergaminy i foljały leżały otwarte, pokryte kurzem jak srebrnoszarym aksamitem.

Na wszystkich drzwiach – z czerwonej miedzi tajemnicza pieczęć Salomona: pentagram.

Potem przyszedł czas, co niszczył wszystko, co stare. Wtedy orzekli, że ów gmach musi umrzeć. Ale dom był silniejszy. Silniejszy od dziesiątków lat i teraz był silniejszy. Zabijał ludzi, którzy targnęli się na jego mury, nagle spadającymi głazami, otwierał ziemię pod ich stopami i strącał ich w czeluście, o których nikt dotąd nie wiedział. Jakby mór, co przywędrował ongiś w ślad czerwonych pantofli maga, żył jeszcze w kątach wąskiego domu i skakał ludziom na karki.

Umierali – a żaden lekarz nie mógł rozpoznać choroby. Dom bronił się tak zażarcie i z taką siłą przeciw zniszczeniu, że wieść o jego złośliwości rozbiegła się szeroko po kraju, że się w końcu nikt nie znalazł na tyle odważny, by stoczyć z nim walkę, nawet złodzieje i bandyci, którym obiecywano darowanie kary w razie oświadczenia gotowości zniszczenia tego domu, woleli iść pod pręgierz, a nawet na miejsce stracenia, aniżeli dostać się we władzę tych murów, tych drzwi bez klamek, zapieczętowanych pieczęcią Salomona.

Małe miasto dookoła tumu stało się wielkiem i wyrosło na Metropolis – centrum świata.

Pewnego dnia zdaleka przyszedł do miasta jakiś człowiek. Ujrzał dom i rzekł:

– Ten dom chcę mieć!

Wtajemniczono go w historję domu. Nie śmiał się. Trwał przy swym zamiarze. Kupił dom za bardzo niską cenę, zajął go i pozostawił niezmienionym.

Człowiek ten zwał się Rotwang. Nie wielu go znało. Tylko Joh Fredersen znał tego człowieka bardzo dobrze. Byłby się on łatwiej zdecydował stoczyć walkę o tum ze sektą Gotyków, aniżeli podjąć walkę z Rotwangiem o dom maga.

Było w Metropolis, w tem mieście racjonalnego i uregulowanego pośpiechu bardzo wielu ludzi, którzy woleli okrażać zdaleka dom Rotwanga, sporo nakładając drogi. Olbrzymom, co stały obok, sięgał ledwie do kolan. Stał krzywo, bokiem do ulicy, dla czystego miasta, co nie znało ani dymu ani sadzy, był zakałą, ale mimo to pozostał. A gdy Rotwang, co się rzadko zdarzało, opuszczał dom i szedł ulicą, wielu ukradkiem pozieralo na niego, czy przypadkiem nie był obuty w czerwone pantofle...

Przed drzwiami domu, na których błyszczala pieczęć Salomona, stał Joh Fredersen, władca Metropolis.

Odprawił powóz i zapukał.

Czekał. Zapukał ponownie.

Jakiś głos zapytał, jakby dom mówił przez sen:

– Kto tam?

– Joh Fredersen – brzmiała odpowiedź.

Drzwi otwarły się.

Wszedł. Drzwi zamknęły się.

Stał w ciemnościach.

Ale Joh Fredersen znał dom dobrze. Szedł prosto, a gdy przechodził, świeciły przed nim na płytach korytarza dwa świecące ślady kroczących nóg i brzeg stopnia zaczął lśnić. Jak wskazujący tropy pies biegło światło po schodach w górę, aby za nim zaraz gnać.

Tak doszedł do końca schodów i obejrzał się. Wiedział; tu było wiele drzwi, ale na tych, które były naprzeciw niego, połyskiwała miedziana pieczęć jak wytrzeszczone patrzące nań oko.

Przystąpił do nich. Drzwi otwarły się przed nim.

Z tyłu drzwi w domu Rotwanga te jedne otwarły się dla Joh Fredersena, choć – a może właśnie dlatego – właściciel domu wiedział dobrze, że oznaczało to dla Joh Fredersena niemałe przezwyciężenie, by przekroczyć ten właśnie próg.

Oстрым szczękiem zapadły drzwi.

Wciągnął powoli powietrze sali, wahając się, a przecież jakby szukając w niem istnienia jakiegoś innego oddechu.

Leniwie rzucił kapelusz na krzesło. Powoli z jakimś nagłem i smutnem zmęczeniem wędrowały oczy jego po pokoju.

Był on prawie pusty. Wielkie poczerwiałe krzesło, jakie się widuje w starych świątyniach, stało przed zasłoną, która zakrywała wgłębienie szerokie jak ściana.

Joh Fredersen stał chwilę pod drzwiami bez ruchu. Przymknął oczy. Z męką nie mającą sobie równej, z nie mającą sobie równej bezsilnością, wdychał woń hiacyntów, co napelniała nieruchomą komnatę.

Nie otwierając oczu, chwiejnie, lecz pewny celu, zbliżył się do ciężkiej czarnej zasłony i rozsunął ją. Potem otworzył oczy. Trwał w ciszy.

Na szerokiej podstawie spoczywała kamienna głowa kobiety...

Nie było to dzieło artysty. Było to dzieło mężczyzny, co w mękach nie do wypowiedzenia w ludzkiej mowie walczył z białym kamieniem dni całe i noce, aż w końcu zdało się, że biały kamień zrozumiał i zrodził sam kształt głowy kobiecej.

Zdawało się, jak gdyby tu nie pracowało żadne narzędzie. Jak gdyby jakiś człowiek nieustannie, z całej siły, tęsknoty, rozpacz i mózgu, krwi i serca, leżał przed tym głazem, wołał kobietę po imieniu, aż się nad nim bezkształtna zlitowała bryła i sama ze siebie zrodziła ten obraz kobiety, która dla dwu ludzi oznaczała niebo i piekło...

Oczy Joh Fredersena czytały słowa, które jakby wśród klątw wykute lśniły na cokole:

Hel
Urodzona mnie na szczęście, ludziom na błogostawieństwo
Odeszła
do Joh Fredersena
Umarła
kiedy dała życie jego synowi Frederowi

Wtedy umarła... Ale Joh Fredersen wiedział dobrze, że nie umarła przy położeniu. Umarła dlatego, ponieważ uczyniła to, co uczynić musiała. Umarła jeszcze tego samego dnia, w którym odeszła od Rotwanga do Joh Fredersena i dziwiła się, że jej stopy na tej drodze nie pozostawiały śladów krwi. Umarła, ponieważ nie mogła się oprzeć wielkiej miłości Joh Fredersena i ponieważ przez niego została zmuszona innemu złamać życie doszczętnie.

Wyraz ostatecznego wyzwolenia wykwił na twarzy Hel, kiedy dowiedziała się, że musi umrzeć.

Ale w tej samej godzinie leżał najpotężniejszy mąż w Metropolis na ziemi i krzyczał jak dzikie zwierzę, któremu się łamie żywcem kości.

A gdy w wiele tygodni później spotkał Rotwanga, ujrzał, że jego dzika czupryna nad cudownym czołem wynalazcy jest całkiem biała, a oczy nabrzmiały nienawiścią, blisko skojarzoną z obłędem.

W tej wielkiej miłości, w tej wielkiej nienawiści pozostała biedna zmarła Hel żywą dla obudwóch mężczyzn.

– Musisz chwileczkę zaczekać – rzekł głos, który brzmiał, jakby dom mówił przez sen.

– Słuchaj, Rotwang – rzekł Joh Fredersen – ty wiesz, że mam cierpliwość dla twych sztuczek i że przychodzę do ciebie, kiedy od ciebie chcę czegoś i że jesteś jedynym człowiekiem, który może się tem poszczycić. Ale nie doprowadzisz mnie nigdy do tego, ażebym grał z tobą razem, gdy ty grasz błażna. Wiesz także, że nie mam czasu do tracenia. Nie ośmieszaj więc nas obu, lecz przychodź.

– Powiedziałem ci: zaczekaj! – odrzekł głos jakby oddalając się.

– Nie będę czekał, odejdę!

– Uczyń to, Joh Fredersenie.

Chciał to zrobić. Lecz drzwi, przez które wszedł, nie miały ani klucza ani klamki. Miedziano-czerwona świecąca pieczęć Salomona patrzyła na niego.

Cichy, daleki głos zaśmiał się.

Joh Fredersen przystanął odwrócony do pokoju. Przez plecy przebiegło mu drżenie i zbiegło przez zwisające ręce do zaciśniętych pięści.

– Należałoby ci rozwalić czaszkę – rzekł szeptem... – Należałoby ci rozbić czaszkę... gdyby nie zawierała tak drogiego mózgu.

– Nie możesz mi nic więcej wyrządzić ponad to, coś mi już wyrządził – rzekł daleki głos. Joh Fredersen zmilczał.

– Albo co myślisz – ciągnął daleki głos – co jest boleśniesz; rozbić czaszkę komuś, czy wyrwać żywe serce?

Joh Fredersen zmilczał...

– Czy ci zamarzł dowcip, że nie odpowiadasz, Joh Fredersenie?

– Mózg taki jak twój powinien-by umieć zapomnieć – rzekł mężczyzna przy drzwiach, wlepiwszy wzrok w pieczęć Salomona.

Daleki, cichy głos zaśmiał się znowu:

– Zapomnieć? dwa razy w życiu zapomniałem. Raz, że etrooliwa i rtęć mają do siebie idjosynkrazję, wskutek tego zapomnienia straciłem ramię. Drugi raz, że Hel była kobietą, a ty mężczyzną. Wskutek tego zapomnienia straciłem serce... Trzeci raz – boję się zapominać: wskutek tego straciłbym może głowę... Już nigdy w życiu niczego nie zapomnę, Joh Fredersenie!

Joh Fredersen zmilczał...

Także daleki głos umilkł.

Joh Fredersen odwrócił się i podszedł do stołu. Odsunął książki i pergaminy, usiadł i wyciągnął jakiś papier z kieszeni. Położył go przed sobą i oglądał.

Nie był on większy od dłoni mężczyzny. Nic był ani zadrukowany, ani zapisany – lecz był pokryty rysunkiem jakiegoś dziwnego symbolu i planu nawpół zniszczonego. Drogi zaznaczone, podobne do błędnych dróg, jednak wszystkie prowadziły do jednego celu – do miejsca pełnego krzyży...

Nagle uczuł, jak się doń od tyłu zbliża łagodne, ale stałe zimno. Bezwiednie wstrzymał oddech.

Poprzez jego głowę sięgnęła ręka. Zgrabna, koścista ręka. Przeźroczysta skóra pokrywała kości, które pod nią błyszczwały jak matowe srebro. Palce śnieżnobiałe i bezmięsne zamknęły się na kartce, leżącej na stole, podniosły i zabrały ją.

Joh Fredersen odwrócił się gwałtownie. Patrzył na postać, która stała za nim, oczyma, które się zaszklify.

Postać ta była bezsprzecznie kobietą. Delikatne ubranie okrywało ciało jak pień młodej brzozy chwiejące się na zwartych nogach. Ale choć była kobietą, nie była człowiekiem. Ciało jakby z kryształu, przez który srebrnie przeświecały kości. Zimno wionęło ze szklanej skóry, pod którą nie płynęła krew. Piękne ręce drżały gestem decydującym, upartym, przyciśnięte do piersi, które nie oddychały.

Ale istota ta nie miała twarzy. Szlachetne wygięcie szyi unosiło bryłę niedbale uformowaną. Czaszka naga. Nos, wargi i skronie tylko zaznaczone. Oczy jak namalowane na zamkniętych powiekach, patrzyły bez patrzenia z wyrazem ciętego obłąkania na zmartwiałego mężczyznę.

– Bądź uprzejma, moja piękna Parodjo – rzekł daleki głos, który brzmiał jakby dom mówił przez sen. – Pozdrów Joh Fredersena, pana wielkiej Metropolis.

Istota skłoniła się powoli. Obląkane oczy zbliżyły się do niego jak dwa ostre promienie. Głowa-bryła zaczęła mówić. Mówiła głosem pełnym straszliwej czułości:

– Dobry wieczór, Joh Fredersenie...

A słowa te były bardziej kuszące, aniżeli rozchylone usta.

– Dobrze, perło moja, dobrze, mój klejnocie – rzekł daleki głos pochwalnie i dumnie.

Ale w tej samej chwili istota straciła równowagę. Padła, przechylając się wprzód, w stronę Joh Fredersena. On wyciągnął ręce, ażeby ją złapać i uczuł w chwili dotknięcia, że ręce jego kruszeją pod nieznośnem zimnem, którego brutalność wywołała w nim gniewny wstręt.

Odepchnął ją od siebie i pchnął ją w stronę Rotwanga, który, jakgdyby spadły z powietrza, stał obok niego.

Rotwang ujął ją za ramiona.

Potrząsnął głową.

– Za gwałtownie – rzekł – za gwałtownie, moja piękna Parodjo! Boję się, że twój temperament spłata ci jeszcze nie jednego figla.

– Cóż to jest – spytał Joh Fredersen i oparł ręce o stół, który stał za nim.

Rotwang zwrócił nań twarz, w której wspaniałe oczy błyszczały jak ognie strażnicze, gdy je wichler siecze zimnemi biczami.

– Co to jest? – odparł – Futura... parodja... jak chcesz ją nazwać. Także – złuda... Suma: kobieta... Każdy mężczyzna, który jest twórcą, stwarza sobie najpierw kobietę. Nie wierzę w to oszukaństwo, że pierwszy człowiek był mężczyzną. Jeśli męski Bóg stworzył świat – a sędzę, że męski, Joh Fredersenie – to stworzył napewno najpierw, czule i rozkoszując się w twórczej zabawie – kobietę. Możesz ją zbadać, Joh Fredersenie. Jest bez zarzutu. Trochę – chłodna. Przyznaję. Ale to pochodzi od tej materji, która jest moją tajemnicą. Nie jest jeszcze zupełnie gotowa. Jeszcze nie opuściła warsztatu twórcy. Nie mogę się na to zdecydować, rozumiesz? Skończenie jest zarazem utratą. Nie chcę jej stracić. Dlatego nie dałem jej jeszcze twarzy. Ją masz ty dać, Joh Fredersenie. Bo ty byłeś tym, który zamówił nowego człowieka.

– Zamówiłem u ciebie, Rotwang, ludzi-maszyny, których mogę potrzebować przy moich maszynach, ale nie kobietę, która jest zabawką.

– Nie zabawką, Joh Fredersenie... Nie... Ty i ja – my obaj – nie bawimy się więcej... Raześmy to uczynili. Raz – i nie więcej... To nie zabawka, Joh Fredersenie, to narzędzie. Wiesz ty, co to znaczy mieć kobietę jako narzędzie – i to kobietę taką jak ta – bez skazy – chłodna – posłuszna – bezwarunkowo posłuszna...

Dlaczego walczysz z Gotykami i mnichem Desertusem o tum? Poszlij im kobietę, Joh Fredersenie. Poślij im kobietę. Gdy będą leżeć na kolanach biczując się, każ tej chłodnej, bez skazy, na srebrnych nogach iść przed ich szeregi, pachnącej ogrodem życia, w falistych sukniach (kto wie na świecie jak pachniały kwiaty drzewa, na którym dojrzało jabłko poznania? Kobieta jest obojgiem – wonią kwiatu i owocem)... Czy mam ci najnowszy twór Rotwanga-genjusza objaśnić, Joh Fredersenie? Będzie to świętokradztwem. Ale to jestem ci dłużny. Bo ty rozbudziłeś we mnie myśl twórczą, ty, człowieku-maszyno. Czy mam ci pokazać, jak posłusznem jest me stworzenie? Daj mi to, co trzymasz w ręce, Parodjo!



Sztuczna Maria z *Metropolis*, reż. F. Lang, 1926.
...i Maria prawdziwa. W obu rolach Brigitte Helm.



– Zaczekaj jeszcze – rzekł Joh Fredersen trochę ochryple – ale bezwarunkowe posłuszeństwo postaci stojącej przed nimi bezwzględnie kazało jej posłuchać. Otworzyła swe ręce, w których delikatne kości błyszczały srebrnie i podała swemu twórcy kartkę papieru, wziętą z przed oczu Joh Fredersena ze stołu.

– To jest oszustwo, Rotwang! – rzekł John Fredersen.

Wielki wynalazca spojrzał na niego. Śmiał się. Cichy śmiech rozciągnął mu usta szeroko.

– Żadne oszustwo, Joh Fredersenie – dzieło genjusza! Czy ma Futura zatańczyć przed tobą? Czy moja piękna Parodja ma grać czułą? kapryśną? Kleopatrę czy Damayanti? Czy ma poruszać się jak gotyckie madonny czy miłośnicie jak azjatyckie tancerki? Jakie włosy mam zaszcześcić twemu narzędziu na czaszce? Ma być czystą, czy rozpustną? Wybacz mi mnogość słów, ty skąpy w słowa. Jestem pijany! rozumiesz? pijany rodzicielstwem! Upajam się! upajam się twym zdumieniem! Przewyższyłem twe oczekiwania, Joh Fredersenie, nieprawdaż? Ale ty jeszcze nie wiesz wszystkiego. Także i śpiewać umie moja piękna Parodja. Umie i czytać. Mechanizm jej umysłu jest bardziej nieomylny, aniżeli twój, Joh Fredersenie!

– Jeśli tak jest rzeczywiście – rzekł władca Metropolis sucho, schrypłym głosem – to rozkaż jej odcyfrować ten plan, który trzymasz w ręce... Rotwangu...

Rotwang zaczął się śmiać. Śmiech jego podobny był do śmiechu pijanego. Rzucił spojrzenie na papier, który trzymały jego palce i chciał go podać istocie, która stała koło niego, już z góry triumfując.

Ale wstrzymał się. Z otwartymi ustami spoglądał na papier, zbliżając go do oczu.

Joh Fredersen, który go obserwował, pochylił się naprzód. Chciał coś powiedzieć, zapytać. Ale zanim otworzył usta, Rotwang podniósł głowę i odpowiedział na spojrzenie jego z tak zielonym płomieniem w oczach, że pan wielkiej Metropolis pozostał bez słów...

Dwa i trzy razy przebiegło to zielone światło od kartki papieru do twarzy Joh Fredersena. A przez ten czas nie słychać było żadnego głosu, tylko oddech, który z piersi Rotwanga gwałtownie dobywał się jak z zatrutego źródła, które wre.

– Skąd masz ten plan? – spytał wreszcie wieki wynalazca. Nie było to pytanie, raczej wyraz gniewu i zdziwienia.

– O to nie chodzi przecież – odparł Joh Fredersen. – W sprawie odcyfrowania go przyszedłem do ciebie. W całym Metropolis niema żadnego człowieka, któryby coś o tem wiedział.

Przerwał mu śmiech Rotwanga.

– Twoi biedni uczeni! – wołał śmiejąc się. – Przed jakim postawiłeś ich zadaniem, Joh Fredersenie! Ile cetnarów druków musieli poprzewracać! Jestem pewny, że niema żadnego miasta na kuli ziemskiej, od czasów starej wieży Babel, któregooby od północy do południa nie zbadali! Ach, Parodjo! Gdybyś już miała oczy, któremi mogłabyś mi mrugnąć! Ale śmieć się przynajmniej, Parodjo, śmieć się srebrzysto, radośnie z wielkich uczonych, którym obcą jest ziemia, po której chodzą!

Postać usłuchała. Śmiała się srebrzysto, radośnie.

– Znasz więc ten plan? to, co przedstawia? – spytał Joh Fredersen, wtargnąwszy w śmiech.

– Tak. Na moją biedną duszę! znam! – odrzekł Rotwang. – Ale na moją biedną duszę! nie powiem ci, co to jest, dopóki nie będę wiedział, skąd masz ten plan.

Joh Fredersen namyślał się. Rotwang nie spuszczał zeń wzroku.

– Nie próbuj mnie okłamać, Joh Fredersenie – rzekł cicho i jakby smutnie.

– Znalezione ten papier... – rzekł Joh Fredersen.

– Kto „znaleziono”?

– Jeden z moich werkmistrzów.

– Grot?

– Tak. Grot.

– Gdzie?

– W kieszeni robotnika, który uległ wypadkowi przy maszynie Geisyr.

– Grot przyniósł ci ten papier?

– Tak.

– I znaczenie tego planu było mu nieznane?

Joh Fredersen zwlekał chwilę z odpowiedzią.

– Znaczenie – tak, ale nie plan. Mówił mi, że widział ten papier już częściej w rękach robotników i że lękliwie trzyma się go w tajemnicy i że się ludzie dookoła tego, kto go ma, gromadzą...

– A więc znaczenie tego planu zatrzymano w tajemnicy przed twym werkmistrzem?

– Tak się zdaje. Bo nie umiał mi go objaśnić.

– Hm...

Rotwang zwrócił się do istoty, która opodal stała nadsluchując.

– Co ty mówisz na to, moja piękna Parodjo – spytał.

Istota stała nieruchomo.

– Więc? – spytał Joh Fredersen z ostrym wyrazem niecierpliwości.

Rotwang spojrział nań powoli, zwracając w jego stronę wielką głowę. Wspinałe oczy skryły się za powiekami, jakgdyby nie chciały mieć nic wspólnego z białymi, silnymi zębami i szczękami drapieżnego zwierza. Ale z poza prawie zamkniętych powiek spoglądały na Joh Fredersena, jakgdyby szukały w jego twarzy drzwi do wielkiego mózgu.

– Na co można cię schwytać, Joh Fredersenie – mruczał – czym jest dla ciebie słowo – albo przysięga – ty, bóg, z twymi własnymi prawami. Jakiego przyrzeczenia dotrzymasz, jeśli złamanie jego wyda ci się odpowiedniejsze?

– Nie pleć, Rotwang! – rzekł Joh Fredersen. – Będę milczał, ponieważ potrzebuję cię jeszcze. Wiem to bardzo dobrze, że ludzie, których potrzebujemy, są naszymi jedynymi tyranami. A więc, jeśli co wiesz – mów!

Ciągle jeszcze ociągał się Rotwang. Lecz powoli opanowywał jego rysy uśmiech, dobroduszny i tajemniczy uśmiech, który sam ze siebie się śmiał.

– Stoisz na wejściu – rzekł.

– Co to ma znaczyć?

– Należy to brać dosłownie, Joh Fredersen. Stoisz na wejściu.

– Na jakim wejściu, Rotwang? Marnotrawisz czas, który do ciebie nie należy...

Uśmiech na twarzy Rotwanga pogłębił się do wesołości.

– Czy pamiętasz jeszcze jak gwałtownie się swego czasu wzbraniałem dać pozwolenie na przeprowadzenie kolei podziemnej pod moim domem?

– Rzeczywiście. Pamiętam także jeszcze sumę, którą mnie kosztowało okrażenie twego domu!

– Tajemnica była droga, przyznaję, lecz tej ceny warta! Oglądnij sobie ten plan, Fredersenie. Co to jest – tu?

– Schody?

– Napewno schody. Są one bardzo nieporządnie wykonane – na rysunku i w rzeczywistości...

– Ty znasz je więc?

– Mam tę przyjemność, tak jest. Teraz chodź dwa kroki na bok. Co to jest?

Ujął Fredersena za ramię. Ten uczuł, jak palce sztucznej ręki wbijają się w jego muskuły jak szpony drapieżnego ptaka. Prawą ręką wskazywał Rotwang na miejsce, gdzie stał Joh Fredersen.

– Co to jest – tutaj? – spytał potrząsając ramieniem, które trzymał.

Joh Fredersen pochylił się. Wyprostował się znowu.

– Drzwi?

– Słusznie, Joh Fredersenie. Drzwi. Bardzo dokładnie zrobione i dobrze zamykające się drzwi. Człowiek, który ten dom budował, był porządny i staranny. Tylko raz zaniedbał się i musiał to odpokutować. Zeszedł po schodach, które są pod temi drzwiami i szedł po niedbałych stopniach i korytarzach, które się łączą, zabłądził i nie znalazł drogi powrotnej. Nie jest to bowiem tak łatwe! Bo ludzie, którzy tam mieszkali, nie pozwoliliby obcym wtargnąć do swych mieszkań. Znalazłem mego chciwego wiedzy poprzednika i poznałem go zaraz po jego spiczastych, czerwonych pantoflach, które się doskonale zachowały. Wyglądał – trup – spokojnie i po chrześcijańsku – choć w życiu ani taki, ani taki nie był. Towarzysze jego ostatniej godziny przyczynili się napewno dobrze do nawrócenia tego niegdyś diabelskiego ucznia...

Wskazał paznokciem prawego palca wskazującego na masę krzyży w punkcie środkowym planu.

– Tu leży – dokładnie tu. Jego czaszka musiała mieścić mózg, który byłby godzien twego, a musiał jednak tak nędznie zginąć, bo raz zabłądził... Szkoda go...

– Dokąd-że zabłądził?

Rotwang spoglądał nań długo, nim przemówił:

– Zabłądził w mieście umarłych, na którym stoi Metropolis – rzekł w końcu.

– Głęboko pod tunelami twojej kolei podziemnej leży tysiącletnie Metropolis tysiącletnich umarłych...

Joh Fredersen milczał. Powoli podnosiła się jego lewa brew, gdy zaciskał powieki. Oczy wpół w Rotwanga, który zeń nie spuszczał wzroku.

– A co plan tego miasta robi w rękach mych robotników?

– To należy objaśnić – odpowiedział Rotwang.

– Ty mi pomożesz?

– Tak.

– Jeszcze dziś w nocy?

– Dobrze.

– Powrócę po zmianie szycity.

– Uczyni to, Joh Fredersenie, a jeśli chcesz przyjąć radę...

– Słucham...

– To przyjdź w stroju robotniczym.

Joh Fredersen podniósł głowę, lecz wielki wynalazca nie zostawił mu czasu na słowa. Wzniósł rękę jak ktoś, kto nakazuje spokój i karki.

– Także czaszka człowieka w czerwonych pantoflach kryła wielki mózg, Joh Fredersenie, a przecież nie mógł od tych, co na dole mieszkają, wrócić do domu...

Joh Fredersen namyślał się. Potem skinął głową i zwrócił się do wyjścia.

– Bądź uprzejma, moja piękna Parodjo – rzekł Rotwang – otwórz panu wielkiej Metropolis drzwi.

Istota spojrzała mimo Joh Fredersena. Czuł oddech jej zimna. Widział niemy śmiech na rozchylonych ustach Rotwanga, wielkiego wynalazcy. Poblądł z gniewu, lecz zmilczał.

Istota wyciągnęła przeźroczystą rękę, w której delikatne kości błyszczały srebrnie i poruszyła końcami palców pieczęć Salomona, która błyszczała miedzią. Drzwi cofnęły się.

Joh Fredersen wyszedł za istotą, która przed nim zstępowała ze schodów.

Nie było światła na schodach, ani w wąskim korytarzu. Ale od postaci przewodniczki prosił blask, jak od zielono płonącej świecy, dość silny, by rozjaśnić mrok schodów i czarnych ścian. Przy drzwiach domu przystanęła i czekała na Joh Fredersena, który siedł za nią powoli. Brama otwarła się przed nim, lecz za wąsko, by mógł wyjść. Przystanął.

Z niekształtnej twarzy istoty patrzyły nań oczy – oczy, jakgdyby namalowane na zamkniętych powiekach, z wyrazem cichego obłąkania.

– Bądź uprzejma, moja piękna Parodjo – rzekł cichy daleki głos, który brzmiał jakgdyby dom mówił przez sen.

Istota skłoniła się. Wyciągnęła rękę, delikatną kość-rękę. Przeźroczysta skóra oplatała wąskie kostki pod nią błyszczące, jak matowe srebro. Palce srebrnobiałe i bezmięsne otworzyły się, jak kwiaty kryształowej lilii.

Joh Fredersen ujął tę rękę i uczuł, jak w chwili dotknięcia kruszy jego dłoń nieznośnie zimno. Chciał ją odepchnąć, ale srebrno-kryształowe palce trzymały go mocno.

– Dowidzenia, Joh Fredersen – rzekła bryła-głowa głosem pełnym straszliwej czułości. – Daj mi twarz, Joh Fredersenie, daj wkrótce!

Cichy, daleki głos śmiał się, jakgdyby dom śmiał się przez sen.

Ręka puściła go. Drzwi otwarły się, Joh Fredersen wyszedł chwiejnie na ulicę.

Za nim zamknęły się drzwi. Miedziana, czerwona pieczęć Salomona błyszczała na ciemnym drzewie.

THEA VON HARBOU
Tłum. Witold ZECHENTER

Tekst za: T. von Harbou, *Metropolis*, tłum. W. Zechenter, „Rój”, Warszawa 1927 r. (zachowano oryginalną pisownię tekstu).